

Kierat 2019

START

Piątek, 24 maja, od rana leje jak z cebra. Leżymy w ciepłych łóżeczkach w Chacie na Końcu Świata w Słopnicach Górnych i takie oto myśli błędzą nam po głowach: „co to będzie jak nie przestanie lać do wieczora”?, „nieźle błoto się tam produkuje”, „co mi przyszło do głowy, żeby startować w BnO na 100 kilometrów, to jakieś szaleństwo”. Ale o 11.30 stoimy grzecznie w kolejce pod odbiór pakietów w bazie Ekstremalnego Maratonu Pieszego na Orientację pod wiele mówiącą nazwą Kierat. Każdy chce nacieszyć oko mapą, na której naniesiono: start, metę i 14 punktów kontrolnych. 100 kilometrów to trasa optymalna, podobnie rzecz się ma z sumą przewyższeń. Grupki zapaleńców rozsiadają się z wypiekami na twarzy i opracowują plan: jak to zrobić, żeby się nie narobić. Ja i Ewa mamy w planie przebiec trasę do końca razem. Ja startuję drugi raz a Ewa ma swój debiut. Też robimy sobie burzę mózgów przy pizzy nad mapą. Ostatnie przygotowania do startu; sprawdzenie ekwipunku. Decydujemy się na małe biegowe plecaczki. Ma nie padać. Nie bierzemy kurtek przeciwdeszczowych tylko cienkie wiatrówki. Ryzyk fizyk. Wierzę w swoje szczęście.

I.

Arek zawozi nas na start. O 18 ruszamy, prawie nie pada. Początek lecimy razem ze wszystkimi, ale już po kilometrze grupa się rozdziela na dwa wężyki. Nie wiadomo nawet kiedy wpadamy na pierwszy punkt.

II.

Potem wspinaczka pod Cichoniem i pyk, jest drugi PK. Zaraz za punktem okazuje się, że część osób omija Ostrą, my jednak po chwili wahania decydujemy się pozostać przy naszym planie

i wybieramy zielony szlak. Jest ostra wspinaczka, ale w nogach dużo siły. Potem górą prościutko do trzeciego PK.

III.

Tu wybieramy z premedytacją inną opcję niż wszyscy – zbiegamy w dół do asfaltu we wsi Roztoka i biegniemy drogą spory kawałek. To się nazywa wiara w biegową moc naszych nóg – będzie trochę dalej, ale w łatwym terenie podkręcimy średnie tempo, co zgodnie z planem następuje. W kierunku czwartego punktu skręcamy dopiero na jego wysokości i maszerujemy dziarsko do góry. Zaczyna się ściemniać. Kiedy kończy się droga, zapalamy czołówki i tu zaczyna się przygoda: darcie prosto do góry przez łąkę, krzaki, las, bez szlaku.

IV.

Wychodzimy prosto na PK4. Cyk, pyk i lecimy dalej, kawałek za grupą, ale zaraz oddzielamy się – chcemy pobiec jeszcze kawałek zielonym szlakiem i dopiero potem ściąć do drogi w kierunku na Czarny Potok. Niestety zaplanowana przez nas trasa wiedzie przez wzburzony potok (wszystko przez te opady), wycofujemy się i nadkładamy trochę drogi przez wieś Łukowica. Jesteśmy złe, ale na drugi dzień okazuje się, że nasza opcja była trafiona, bo dużo ludzi idąc oczywistą drogą wpakowało się w niezłe błoto. Za wsią Czarny Potok biegniemy z grupą innych zawodników przez Babią Górę (nie, nie tę Babią, na szczęście aż tak daleko w poszukiwaniu punktu się nie zapędziłyśmy). Tu rezygnujemy z naszego wcześniejszego planu, ale to chyba dobra decyzja, bo prosta i wygodna droga prowadzi nas do PK5.

V.

Przy samym punkcie popełniamy niestety błąd, zamiast wejść na Górę Zyndrama, lecimy asfaltem w dół. Całe szczęście

nadrabiamy tylko kilkaset metrów, bo ktoś litościwy nas zawraca, jak widać na Kieracie pośpiech nie zawsze jest wskazany. Dalej po przejściu przez Dunajec celujemy w przełęcz między Kobylicą i Cebulówką, odrzucając nasz pierwotny plan dojścia do żółtego szlaku. Decyzja dobra, tyle, że trochę za bardzo kluczymy wspinając się pod górę (nadmiar wody zbija nas z pantałyku). Dalej przejście do punktu PK6 dość oczywiste, ale mozolna wspinaczka pod górę trochę nas nuży.

VI.

Z punktu szóstego do siódmego poszło wyjątkowo sprawnie, zakosami zgodnie z trasą wzorcową. Przemykamy przez uśpione wsie; czasem tylko jakiś pies na nas zaszczeka. Czasem w oddali błysnie czyjaś czołówka, ale na tym etapie tłumu na trasie już nie ma.

VII.

A teraz już tylko do zielonego szlaku do schroniska pod Przehybą; to jeden z fajniejszych fragmentów trasy. Jeszcze nie ma trzeciej, a ja już widzę jakby czerwoną łunę wschodzie, czekam na pierwsze ptasie trele. Jest magicznie. Przed czwartą można już wyłączyć czołówkę, zwłaszcza, że ostatnie kilometry do PK8 w schronisku wiodą asfaltem.

VIII.

A w schronisku raj: żurek z jajkiem i kielbasą, gorąca kawa, ciepłutko i przyjemnie. Umawiamy się wcześniej, że spędzimy tu 10, no max 15 minut. I chyba nam się udaje dotrzymać słowa. Z brzuchami wypełnionymi zupą maszerujemy do rozejścia szlaków zielonego i czerwonego. Jak tylko czerwony szlak zaczyna schodzić w dół, rozpędzamy się coraz bardziej. Zapomniałam dodać, że na PK6 byliśmy na około 180 pozycji. Teraz biegnąc jak wariatki wyprzedzamy masę ludzi. Jesteśmy za półmetkiem i to nas napędza. Do tego jest już dzień, piękny poranek, aż chce się biec. Biegniemy cały czas jak tylko droga

wiedzie w dół lub gdy jest płasko; pod górę zwawo maszerujemy. Nagle przed nami pojawia się spora grupa zawodników, a wśród nich cztery babki! Przyspieszamy i już za chwilę cała grupa jest za naszymi plecami. Cztery za jednym zamachem! Do końca czujemy wyimaginowane oddechy tych dziewczyn na naszych plecach ...

IX.

Punkt kontrolny numer 9 znajdujemy bez problemu (wydeptana w wysokiej trawie ścieżka pokazuje wyraźnie, gdzie należy skręcić ze szlaku). Tu okazuje się, że jesteśmy w pierwszej setce. W połowie drogi do PK10 dowiaduję się, że przez PK 11 przebiegła dopiero jedna kobieta. Mamy szansę być w pierwszej 10-siątce kobiet. Ale nas to nakręca! Ewa rezygnuje nawet ze zmiany mokrych skarpet na suche (ja też mam mokre, ale staram się o tym nie myśleć); przesuwamy zjedzenie bułki z serem na PK11. W miejscowości Rzeka doganiamy kolejną dziewczynę i wyprzedzamy ją, a ona nas zaraz znowu, bo wchodzimy na sekundę do sklepu po zimniutką coca-colę. I tak się już z nią tasujemy przez dłuższy czas; to nas dobrze motywuje do wysiłku.

X.

PK10 łatwo namierzony, a potem bez większych przeszkód przez Twarogi, Goły Wierch do niebieskiego szlaku i na PK 11.

XI.

Tu dowiadujemy się, że jesteśmy 7 i 8 kobietą. Nie odpoczywamy, nabieramy tylko wodę, a ja przebieram koszulkę, bo słońce już mocno przypieka i lecimy dalej. Tu mały błąd, bo wydaje się, że możemy trochę skrócić do miejscowości Zasadne, ale musimy się wycofać i biec drogą tak jak wszyscy.

XII.

Punkt 12 pod Rydzawską Grapą okazuje się dość trudny do odnalezienia, ale jakoś się udaje. Zbiegamy do asfaltu i tu dopada mnie najgorszy kryzys. Mam mało wody, jest gorąco

i ciało nie chce już współpracować. Do tego tracimy chwilowo nadzieję, że uda się zmieścić w 20 godzinach, co od początku było naszym celem. Obieramy inną trasę niż większość (nie idziemy więc trasą wzorcową, tylko spory kawałek podbiegamy drogą nr 968, a potem zaczynamy się wspinać asfaltową drogą do góry). Jest już naprawdę gorąco i mózgi działają na zwolnionych obrotach po nieprzespanej nocy.

XIII.

W punkcie 13 powinnam nabrać wody, bo już prawie nic mi nie zostało. Ale nagle pojawia się tam kobieta i Ewa krzyczy, że musimy lecieć. No to lecimy. Spotykamy kilku chłopaków, z którymi się tasowałyśmy już od jakiegoś czasu. Biegniemy za nimi na skróty przez łąkę w stronę Dzielca, gdzie czeka nas ostatni przed metą PK14.

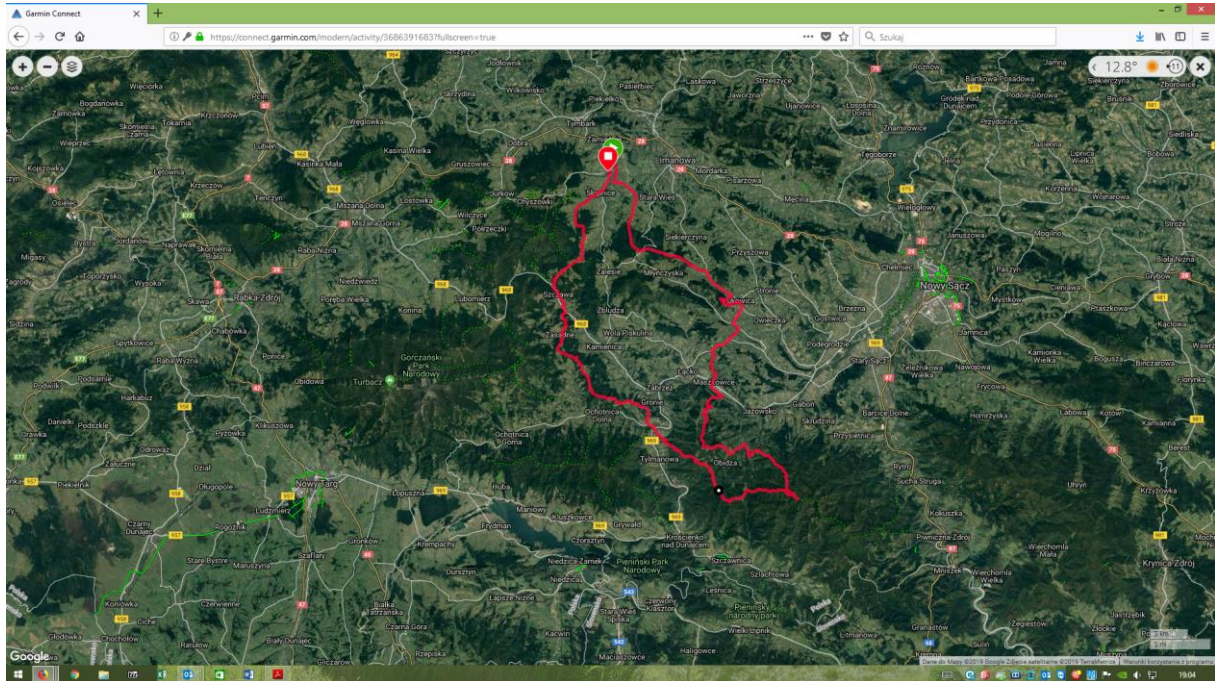
XIV.

Teraz prosto w dół przez las do asfaltu, gdzie truchtamy napędzane nadzieją złamania 20 godzin. Bolą mokre odparzone stopy, bolą kolana, mięśnie, no właściwie wszystko już nas boli, ale od mety dzieli jeszcze jakieś 5 kilometrów, więc zmuszamy nasze biedne organizmy do pracy w tym kierunku. Dobrze, że biegnie z nami jeszcze jeden zawodnik, Piotrek – ultramaratończyk z Wrocławia, który trochę odwraca naszą uwagę od zmęczenia i bólu, zagrzewa nas do walki na tych ostatnich kilometrach. I są, Słopnice, skrzyżowanie, już widać kościół i skręt do szkoły. Ostatnie podejście trochę idziemy, ale od zielonego kosza na śmieci, aż do mety, sprint (na miarę naszych możliwości).

META

Hurra! Udało się; czas, o którym nawet nie śniłam: 19 godzin i 36 minut. Jesteśmy na 97 pozycji w open i siódmej wśród

kobiet. Wyszło nam 105,5 km i wzrost wysokości 4.378 m (no nie tak najgorzej, jak na początkujących).



Takie żółtodzioby, a dały popalić niejednemu weteranowi Kieratu, niejednemu tubylcowi znającemu teren! Wygrał upór, wytrwałość i siła dobrej współpracy zespołu. No i oczywiście solidne przygotowanie: pierdyliard wybieganych kilometrów, pot wylany na rowerkach, trening ogólnorozwojowy pod okiem trenerów nie poszło na marne.

Siadamy w stołówce, lekko otumanione, średnio przytomne, ale już myślimy o przyszłorocznej edycji Kieratu.

EWA (487)

KASIA (430)